

---

ANNALES  
UNIVERSITATIS MARIAE CURIE-SKŁODOWSKA  
LUBLIN – POLONIA

VOL. XX/XXI

SECTIO FF

2002/2003

---

UAM, Poznań

JÓZEF TOMASZ POKRZYWNIAK

*Franciszek Karpiński — pisarz konsekwentny*

---

Franciszek Karpiński — écrivain conséquent

Zacznijmy od opisu jaskrawej niekonsekwencji Karpińskiego. Jej najgłośniejszym przykładem może być znany list, nazwany przez Romana Sobola „listem-memoriałem”<sup>1</sup>, adresowany w sierpniu 1801 roku do Jana Albertrandiego. Pierwsza edycja tego tekstu została przez jego wydawcę, Stanisława Pignonia, opatrzona znamienym tytułem: *Małoduszność śpiewaka Justyny*<sup>2</sup>, a okoliczności jego napisania i sama treść zostały z niezwykłą skrupulatnością skomentowane przez Romana Sobola w zbiorowym wydaniu korespondencji poety<sup>3</sup>. Spośród 146 listów tego tomu, zebranych i do druku przygotowanych przez Tadeusza Mikulskiego, ten przywoływany był chyba najczęściej. Zwracał na niego uwagę w krótkim przecież *Wstępie do Korespondencji* Mikulski (s. VII); Sobol zamieścił jego fragment jako motto na karcie przedtytułowej swej książki *Franciszek Karpiński* wydanej w serii „Małe Portrety Literackie”<sup>4</sup>, poświęcając w niej samemu listowi

---

<sup>1</sup> R. Sobol, *Franciszek Karpiński*, Warszawa 1979, s. 130.

<sup>2</sup> „Myśl Narodowa”, r. XVII, 1937, s. 545–547.

<sup>3</sup> Zob.: *Korespondencja Franciszka Karpińskiego z lat 1763–1825*, zebrał i do druku przygotował T. Mikulski, komentarz opracował R. Sobol, Wrocław 1958, Ossolineum, „Archiwum Literackie”, t. IV, s. 114–117. Wszystkie cytaty z tego listu pochodzą z tej edycji i będą lokalizowane wskazaniem numeru strony. Wszystkie podkreślenia — jeśli nie zaznaczono inaczej — moje.

<sup>4</sup> Zob. przyp. 1.

sporo uwagi; znaczący akapit przeznaczony na omówienie listu Andrzej Krzysztof Guzek<sup>5</sup>.

Przypomnijmy więc krótko jego treść. Jest to odpowiedź na oficjalne pismo Albertrandiego z 18 czerwca 1801 roku, informujące o powołaniu Karpińskiego na członka czynnego utworzonego w listopadzie poprzedniego roku Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Karpiński znalazł się w elitarnej grupie trzydziestu wybitnych pisarzy i uczonych, tworzących związek Towarzystwa. List Albertrandiego dotarł do adresata z dziewięcioletnim opóźnieniem. Fakt ten Karpiński kwitował znamienne: „Tak to szczęście, z którym łaskawie mię JWPPD[obrodziej] spotykasz, późno przychodzi, a nieszczęścia (jakim jest słabość zdrowia mego terazniejsza) kwapią się, chociaż nikt ich nie żądał” (s. 111). Nie ulega więc wątpliwości, że decyzję inicjatorów warszawskiego przedsięwzięcia, włączając go w krąg członków założycieli przyjął z radością. Ustupująca już słabość zdrowia skłoniła go do wyrażenia zamiaru udania się w najbliższych miesiącach do niedawnej stolicy, by spełnić „najmilszą” powinność i osobiście „podziękować w Warszawie zacnemu ze wszech miar Towarzystwu, że go między sobą, małego wielcy, pomieścić raczyli” (s. 111). Chciałby też osobiście podziękować Albertrandiemu, który „[...] za bytu jeszcze narodu naszego nie posunięty na czoło, na czele ludzi najświetlejszych sływał” (s. 112).

Szczęście, zacne ze wszech miar Towarzystwo, najmilsza powinność, jaką jest podziękowanie, najświetlejszy prezes — to znaczące sformułowania, wyrażające stan ducha nowo powołanego członka TPN-u.

Wraz z listem otrzymał on także programową *Mowę na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk*, wygłoszoną przez jego prezesa 23 listopada 1800 roku, określającą zamierzenia i cele Towarzystwa. Karpiński w trakcie jej lektury wzruszany był „wyrazami prawdziwej wymowy” oraz bawiony i przekonywany „dowodami z historii” (s. 112). Trafnie też w swym liście rozpoznał jej główny cel: „[...] ażeby zginiona Polska żyć jeszcze mogła częścią jej szlachetniejszą, rozumem swoim, który by w dziełach sierót pozostałych wyrażony i język nasz od upadku utrzymał, i potomkom naszym obraz jej niby w pismach naszych malując, pamiętki straconej matki zostawił” (s. 112).

Następnie Karpiński zadeklarował przynależność do Wydziału Poezji i Wymowy. Był to dział 3, obejmujący historię, literaturę, języki, szczególnie słowiańskie, i sztuki wyzwolone. Każdy członek Towarzystwa zobowiązany był przygotować przynajmniej jedną rozprawę w ciągu sześciu lat i przedstawić ją zgromadzeniu. Karpiński postanowił wywiązać się z tego obowiązku natychmiast, choć w formie dość zaskakującej, bo właśnie w tym samym liście, w którym dziękował

<sup>5</sup> A. K. Guzek, *Franciszek Karpiński*, [w:] *Pisarze polskiego oświecenia*, t. I, pod red. T. Kostkiewiczowej i Z. Golińskiego, PWN, Warszawa 1992, s. 615–616.

za przyjęcie. Najbardziej zaskakująca była jednak treść tej „rozprawki”, podejmującej zdecydowaną polemikę z celami Towarzystwa, sformułowanymi przez Albertrandiego. Nie ma wątpliwości, że tak właśnie poeta swą odpowiedź traktował. Powoływał się bowiem na punkt 8 „Ustawy”, nakładający ten obowiązek na członków Towarzystwa, a wybrawszy Poezję i Wymowę myśli swoje ograniczał do tego tylko, co dotyczyło jego Wydziału.

Twierdził więc, że nie mamy szans na zachowanie polskości:

Lekkie pióra nasze czyliż się zdołają oprzeć ogromowi mocarstw, których po naszym podzieleniu wolą stosowną do ich interesu być musi, jak naród zgubili, tak z wolna i język nasz polski zatracić, ażeby tym sposobem każdy z nas zapomniał tęsknić po narodzie swoim, a językiem i obyczajami przywyknął do nowego, który go podbił.

Dowodził Karpiński, że tak zawsze postępowały zwycięskie narody, „językiem, prawem i małżeństwami dla pokoju w domu podbity z swoim naród jednocząc” (s. 112). Dzieje się tak i teraz, „[...] co widzieć na Czechach i Śląsku, które [...] zupełnie dzisiaj poniemczały”. Jakaś szansa istniałaby jeszcze, gdyby cały naród ze swym rozległym terytorium „pod jednego obcego monarchy dostał się panowanie”, gdyby nadal nazywał się Polską i używał swego języka. Podział na trzy części nie pozwala nawet myśleć, „[...] żeby się w której z trzech życie Polski zostało. [...] Może dłużej duch jej żywotny przetrwa tam gdzie serce, tam gdzie była stolica jej, ale i to z czasem, idąc drogą natury, zagasnąć musi” (s. 112).

Albertrandi w swej mowie budował nadzieję powołując się na przykład Włochów, narodu doświadczonego w Europie największą liczbą „[...] napaści, przekształtowania stanu, tyle razy ponowioną utratą autokracji” i wymieniwszy rozmaite konkretne przypadki konkludował, że wszystkie te włoskie kraje „[...] najwyższego stopnia chwały przez nauki doszły, wszystkie w ozdoby najprzedniejsze wytwornych umiejętności obfitują, wszystkie chełpią się z świetnego uczonych ludzi orszaku [...], wszędzie są założone domowe one zgromadzenia uczone, które akademiami zowią, na wydoskonalenie ojczystego języka, na ożywienie rymotwórczej sztuki [...]”<sup>6</sup>. Logika tego wywodu jest oczywista: skoro udało się krajom włoskim (których sytuacja *nota bene* była zupełnie nieporównywalna z naszą), musi udać się i nam; skoro tam zgromadzenia uczone funkcjonują, ma szansę i nasze Towarzystwo.

Albertrandi dowodził też, że Chaldejczycy, podbici przez Persów, nie zatracili „wielkiej w astronomii biegłości” (s. 8), że Grecja, nawet jak stała się prowincją

<sup>6</sup> J. Albertrandi, *Mowa na pierwszym posiedzeniu Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk miana przez [...] biskupa zenopolitańskiego z woli Zgromadzenia prezydującego. Dnia 23 listopada 1800*, „Rocznik Towarzystwa Warszawskiego Przyjaciół Nauk”, t. I (1802), s. 1–25. Wszystkie następane cytaty pochodzące z tej *Mowy* lokalizowane będą numerami stron.

rzymską, nie zaprzestała uprawiania nauk i sztuk, że żydowska mądrość „pośród najokropniejszej niewoli, w prześladowaniu i szyderstwach nieubłaganych zwycięzców swoich, opodał od miłej ojczyzny, nad rzekami Babilonu, przy nieutulonym płaczu była nabyta” (s. 9).

Karpiński przyznawał, że Włochom się udało utrzymać język narodowy, ale dzięki „piękności samej języka i dzieł w nim nieśmiertelnych” oraz dzięki świętemu uporowi (s. 112); przyznawał, że Chaldejczycy po podbiciu swoim pozostali Chaldejczycami, ale tylko dlatego, że już wcześniej słynęli z astronomii; że Grecy w niewoli rzymskiej, owszem, pozostali Grekami, ale nie wydali już tak pięknych owoców swego dowcipu, jak za czasów Platonów, Eurypidesów, Tuczdydów, Demostenesów, Pindarów, Ksenofontów i tylu innych”. Jeśli zaś niektórym Żydom udało się uzyskać sławę w niewoli perskiej „to stąd pochodziło, że Persowie narodem byli nieoświeconym” (s. 113).

Przyznawszy więc częściową rację Albertrandiemu, wracał teraz Karpiński do polemiki zasadniczej. Twierdził, że sytuacja Polaków jest zupełnie inna, bowiem naród niemiecki od wieków słynie naukami i „ma w domu u siebie wszystko, czym tylko najpolerowniejsze insze narody szczyścić się mogą”. Te inne narody zazdroszczą im bowiem Gessnerów, Hallerów, Klopstocków, Wielandów. Mając więc u siebie „najpiękniej wzrastające nauki” nie będą „zbierać kwiatków dowcipu z gruntu niewolniczego” (s. 113). Ponadto Niemcy zadbali o przetłumaczenie swoich przedniejszych pism na angielski, francuski, włoski i na inne europejskie języki. Myśmy, będąc jeszcze wolnymi, nie dbali o przekłady „pism naszych na obce języki”. Obawia się więc Karpiński, że dla naszych potomków mniejszą atrakcją będzie „[...] czytanie albo pomnażanie pism narodowych nad ponętę łask i zysków, które panujący na mówiących albo piszących językiem panującym wylewać będzie” (s. 113). Język i pisma polskie — dowodzi dalej poeta — mogą się jeszcze najdłużej utrzymać w kordonie rosyjskim. Słowiańskie języki i słowiańskie narody z natury rzeczy „[...] łatwiejsze są do ściślejszych związków między sobą aniżeli dwa narody zupełnie sobie obce” (s. 113). Ponadto naród rosyjski dopiero niedawno zaczął „smakować w literaturze”, monarcha rosyjski ceni oświecenie nowych obywateli — czyli Polaków — a Rosjanie „niektóre pisma nasze potłumaczyli” i ucza się języka polskiego.

Nawet jednak ta lepsza sytuacja w zaborze rosyjskim nie stwarza perspektyw przetrwania, a tym bardziej sukcesów w naukach i sztukach.

Wszelako pod obcym panowaniem wolny kiedyś Polak jak dobrze napisać może, kiedy mu ręce związane? Albo kto kiedy był na mówcę obranym, który się za każdym słowem zająknąć musi? Wolność to tylko w narodach rodziła wyrazy, jak sama śmiała; i kto się na wiele rzeczy oglądał, zapewne mało dobrych powiedział [s. 113–114].

Wydawać by się mogło, że ta stanowczość i konsekwencja w logice wy-

wodu doprowadzi poetę do logicznej decyzji; że oto podziękuje raz jeszcze za zaszczytny wybór, ale przyjęcia tej godności odmówi, gdyż nie podziela optymizmu i nadziei Albertrandiego. Karpiński jednak postąpił niekonsekwentnie, wybór przyjął i pozostał członkiem czynnym Towarzystwa przez całe 19 lat. Dopiero w roku 1820 przeniesiono go do rzędu członków–korespondentów. W ostatnim akapicie listu pisał, że przywyka do swego losu, że w swoim domku z ogrodem warzywnym jest już spokojniejszy, ale gdyby ktoś na końcu ziemi wskrzeszał jego ojczyznę, poszedłby tam mieszkać. Jest to jednak niemożliwe; tak więc zapowiada: „[...] przybędę do Warszawy, ażebyśmy przynajmniej na rozwalinach ojczyzny naszej posiadawszy spólnie się pocieszali” (s. 114). W świetle tego, co napisał, nie bardzo nadawał się na pocieszyciela. Może więc to wszystko nie tyle jest przejawem małoduszności, jak chciał Pigoń, ile rażącej niekonsekwencji?

I to jednak nieprawda. W istocie rzeczy był Franciszek Karpiński w swej postawie i w swych poglądach wyjątkowo konsekwentny. Na list Albertrandiego odpowiadał krótko po napisaniu bodaj najważniejszego wiersza w swoim życiu, mianowicie *Żalów Sarmaty nad grobem Zygmunta Augusta, ostatniego polskiego króla z domu Jagiełłów*. Do czasu ogłoszenia w zbiorowej edycji przygotowanej przez Dmochowskiego utwór nie był szerzej znany, krążąc tylko w rękopiśmiennych odpisach. Poeta stwierdzał w nim, że po wiekach handlowania koroną, poniżania tronu, ograniczania rady senatu, jego ojczyzna w końcu upadła. Niektórzy Polacy

Pod niezajome rozbiegli się nieba [w. 32]<sup>7</sup>.

Pozostali:

[...] rozdani na Moskwę i Niemce,  
Na roli ojców płaczą — cudzoziemce [w. 35–36].

Proces wynarodowienia już się rozpoczął,

A głodne dzieci matka przymuszona  
Panującego języka naucza!... [w. 45–46]

Zwracał się więc z dramatycznym apelem do ojczystej rzeki:

Wisło! Nie Polak z ciebie wodę pije,  
Jego się nawet zacierają ślady,  
On dziś przed swoim imieniem się kryje,  
Które tak możne wsławiły pradiady! [w. 49–52]

<sup>7</sup> Tekst *Żalów Sarmaty* cytuję z: F. Karpiński, *Poezje wybrane*, opracował T. Chachulski, Wrocław 1997, BN I 89. Wszystkie podkreślenia moje — JTP.

Przy grobie ostatniego z Jagiellonów, symbolu potęgi i chwały dawnej Rzeczypospolitej, nie widząc szans na lepsze czasy, składał więc:

[...] niezdatną w tej dobie  
Szablę, wesołość, nadzieję  
I tę lutnię biedną!... [w. 57–59]

Kończył tekst przejmującym, choć po męsku stłumionym łkaniem:

Łzy mi tylko jedne  
Zostały... [w. 61–62]

Napisał ten wiersz, który uznał za ostatni swój tekst poetycki, sześć lat po trzecim rozbiorze. Ciągłe miał żywo w pamięci dramatyczne wydarzenia militarne z czasów insurekcji, które przypominał w 4 i 5 strofie, ale świeżo w pamięci miał też klęskę ruchu legionowego. To znamienne: żegnanie z ojczyzną i utrata wiary w zachowanie narodowości nie pojawiły się natychmiast po katastrofie ostatniego rozbioru, ale po klęsce legionistów, którzy mimo wszystko wykazali hart ducha, których oręż był w „tylu przygodach [...] zwycięski”, ale którzy ostatecznie przynieśli z powrotem:

Ubóstwo, blizny, nadzieje zwiedzione! [w. 42]

Jakże więc teraz, być może w parę miesięcy po napisaniu tego wiersza, mógł Karpiński zaakceptować poglądy Albertrandiego? Był załamany i w tym załamaniu tkwił konsekwentnie. Ani Albertrandi, ani zapewne inni członkowie-założyciele Towarzystwa Przyjaciół Nauk nie znali *Żalów Sarmaty*; Karpiński upierał się przy swoim dla siebie, a nie dla powszechnego uznania. Upierał się przekonany głęboko o zasadności swoich przeświadczeń.

Były jednak jeszcze inne przyczyny polemiki z Albertrandim. Skrupulatny komentarz Romana Sobola do tego (i wszystkich innych) listu Karpińskiego stworzył sytuację paradoksalną. Argumenty i poglądy poety zyskały krytyczny komentarz, odsłaniający wszystkie ich słabości i niekonsekwencje. Kiedy Karpiński pisał o skutkach germanizacji Czech i Śląska Sobol dowodził, że poeta „niesłusznie przecenia i uogólnia rezultaty germanizacji na cały naród czeski” (s. 115) i powoływał się na *Zwięzłe dzieje Czechosłowacji* Krafta, wydane w Krakowie w roku 1934. „Niekompetentnie również stwierdza Karpiński brak publikacji w języku czeskim” — pisał Roman Sobol, przytaczając dane bibliograficzne o almanachach poezji czeskiej, wydanych w latach 1795, 1797 i 1798–1814. Jest oczywiste, że siedzący na prowincji poeta najpewniej o tym nie wiedział. Nawet jednak gdyby wiedział, miałby prawo nie traktować tych publikacji jak wielkich dzieł literackich, gwarantujących przetrwanie czeskiego narodu i języka.

Dowodził też Sobol, że błędne było „mniemanie poety o całkowitym zwycięstwie akcji germanizacyjnej na Śląsku”, po czym informował, że w okręgach sycowskim, namysłowskim, oleśnickim i trzebnickim „język polski był w powszechnym użyciu”, że dobra sytuacja była także „w Kłodzkiem, w okolicach Szprotawy i Żagania” (s. 115). Rzecz w tym, że Sobol te informacje czerpał z opracowania Maleczyńskiej *W pruskich szponach*, ogłoszonego w Poznaniu w roku 1948. Karpiński zaś przez Śląsk przejeżdżał raz w życiu, w roku 1770 i owszem — co zresztą Sobol przypomniał — notował później w pamiętniku „swoje spostrzeżenia o przetrwaniu polskości na tym terenie”, lecz były to spostrzeżenia o polskiej świadomości językowej pospólstwa, którym towarzyszyły też obserwacje o niemieckim porządku i „ochędóstwie”. Mógł więc teraz sądzić, że po trzydziestu latach cywilizacyjna i gospodarcza dominacja ograniczyły polskość w następnych pokoleniach dawniej polskiego ludu.

Oczywiście, to Sobol, a nie Karpiński ma rację, jeśli chodzi o dalekosiężne skutki germanizacji w Czechach i na Śląsku. Ale to Karpiński miał powody do pesymizmu i czarnych obaw. Ponadto mowa Albertrandiego musiała go rozdrażnić nadmierną pewnością siebie. Towarzystwo Przyjaciół Nauk powstało w okolicznościach smutnych i dramatycznych. Albertrandiego natomiast zachwyca:

Najprzyjemniejszy ten i całe okazały widok tak wielu zacnych i wyborem przymiotów zaszczyconych osób, tu zgromadzonych [...]; widok ten [...] nie może każdego z przytomnych najżywszą nie obdarzać radością, którzy w jakąkolwiek stronę oczy obróca, imię i chwałę narodu swego, w cenniejszej części swojej odrodzoną oglądają [s. 1–2].

Tak mógłby brzmieć początek wystąpienia, gdyby Towarzystwo powstawało nie po utracie, a po odzyskaniu niepodległości. Tymczasem w drugim akapicie radość mówcy jeszcze się powiększa na myśl o najważniejszych celach zgromadzenia, formułowanych jako „[...] utrzymanie i pomnożenie nauk, pamiętek, języka, zaszczytów oświeconych ludzi tego przedtem narodu, którego lubo imię w rządzie narodów przekreślone widziemy, jednak niezgłozowanym piętnem w sercach naszych wyryte, w wiekuistej zostawać będzie pamięci [...]” (s. 2). Ta wiekuistość pamięci jest żywa i tym bardziej pewna właśnie dlatego, że naród zniknął z „widzialni przestronnej samorządców świata”. Dodaje co prawda Albertrandi, że słodkie pamiętki wolności mogą wskrzeszać wspomnienia i drażnić świeżą ranę oraz przejmować trwogą tych, którzy wzrost i zachowanie nauk uzależniają od narodowej wolności, ale zaraz z niewzruszoną pewnością trwogi te określa jako ponure i stanowczo stwierdza, że utrata autokracji jest co prawda dotkliwa, ale „wpływu zamysłem naszym szkodliwego mieć nie może”, ponieważ „nie jest przeszkodą do utrzymania i rozkrzewienia nauk narodu, w obcą narodów bryłę przelanego” (s. 3).

Te właśnie stwierdzenia mogły w oczach Karpińskiego, prawdziwie ogarnię-

tego trwogą, wyglądać jak niezamierzona oczywiście prowokacja, zmuszająca go do wyrażenia odrębnego i odmiennego zdania.

Albertrandi co prawda za chwilę przyzna, że były w dziejach takie państwa „w dzikości swojej nieugłaskane, w zawziętości niepowściągnięte”, które „same okryte były grubą oponą” i niszczyły kulturę i naukę podbitych narodów. Znow jednak kategorycznie stwierdzał, że nam to nie grozi gdyż mocarstwa, które „tę przedtem udzielną ziemię z pierwiastkową swoją dziedziną spoiły [...] cenią nauki, kochają umiejętność” (s. 5). Zwróćmy uwagę, jak eufemistycznie i elegancko określa mówca brutalny akt rozbiorów i jak bardzo różni się to od dramatycznych sformułowań w *Żalach Sarmaty*. A za chwilę znow pojawi się zdanie drażniące: „Stąd pewną mamy nadzieję i niezawodne upewnienie, iż do dźwignienia i wydoskonalenia nauk wszelkich [...] pomocy, względnej protekcji i przychylnego przyłożenia się wszelkim opieki nadaniem doznamy [...]” (s. 5).

Dalsza, bardzo obszerna i bardzo erudycyjna część wyводу Albertrandiego to historyczny przegląd dziejów różnych narodów mający udowodnić, że utrata suwerenności (autokracji, jak pisze uczony biskup) „[...] w podobnych naszych okolicznościach nie była przeszkodą do obmyślenia naukom wzrostu i stanu najpomyślniejszego” (s. 6). Chwilami można przeczytać, że polityczne spętanie nie tylko nie jest żadną przeszkodą, ale może nawet być korzystne, a już z całą pewnością jest obojętne: „Tak to autokracja lub wolność polityczna, owszem i osobista swoboda, mało się do stanu nauk i umiejętności przyczynia!” (s. 21).

Do zasadności historycznych wywodów Albertrandiego można by zgłaszać wiele zastrzeżeń. Komentarz, podobny do tego, którym Roman Sobol opatrzył opinie Karpińskiego o germanizacji Czech i Śląska, byłby jednak niezwykle obszerny, erudycyjny i tak naprawdę nic by nie wnosił do kwestii zasadniczej i najważniejszej. A było nią przekonanie uczonego biskupa i uczonego Towarzystwa, że pracują i pracować będą na „grobowcu ojczyzny” (s. 23). Że nie mając żadnych szans na aktywność publiczną w rozmaitych dziedzinach, mogą Polacy zyskiwać szacunek i uwielbienie obcych, choć będą już policzeni między ich ziomków. Nie jest to jednak problemem, bowiem społeczność uczonych jest w gruncie rzeczy ponadrasowa i ponadnarodowa:

Czarny, śniady, biały, oliwkowy, miedziasty, wszyscy jednej postaci są i fizjonomii, jedność rodziny i pobratyństwo okazującej. Wszyscy są bracia w szukaniu prawdy [...]. Przedziały jeograficzne, polityczne, moralne, narody jedne od drugich rozłączające do tych, co się naukami zaprzatają [...] całe nie należą [s. 17].

Karpiński nie był jednak uczonego. Był poetą. Nie wierzył w przetrwanie polskości, ale i Albertrandi nie zakładał jej utrzymania i odrodzenia. Umiejętności,



nauka i sztuka to — jak pisał — niezwiędłe kwiaty, którymi obsypywać można i trzeba ojczyzny grobowiec. Ale już tylko i na zawsze grobowiec. Wielkie są zasługi Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jego czynnych założycieli. W sporze tu omawianym rację miał jednak Karpiński. Gdyby rzeczywistość ułożyła się tak, jak w swej mowie projektował ją Albertrandi, prędzej czy później uczeni Polacy, ale już policzeni przez zaborców między swoich ziomków, musieliby się zasymilować. Obaj nie mogli przewidzieć tego, co przyniesie wiek XIX i początek wieku XX. Pesymistyczny, ale i trzeźwy głos Karpińskiego nie był dyktowany małodusznością; był roztropny, dyktowany autentyczną trwogą i był konsekwentny.

Był też Karpiński konsekwentny w swej drobnoszlacheckiej, instynktownej niechęci wobec możnych tego świata, co w swym pamiętniku dokumentował wielokrotnie. Duch przekory i odwaga głoszenia własnej prawdy były w nim od zawsze. Nie one jednak odegrały w tym przypadku rolę istotną. W mowie Albertrandiego musiało go drażnić coś jeszcze i ślad tego rozdrażnienia odnajdujemy w liście poety bez trudu. Zaraz na początku Karpiński stwierdzał — jak pamiętamy — że w czasie lektury wzruszany był wielokrotnie „wyrazami prawdziwej wymowy” oraz bawiony i przekonywany dowodami z historii (s. 112). Rzeczywiście, tekst Albertrandiego aż puszy się kunsztowną retoryką i niebywałą erudycją. To materiał na osobne rozważania. Sentymentalnemu poecie, zwolennikowi prostoty wymowy w prozie albo wierszu nie mogło się to podobać. W zakończeniu swego listu stawia więc dwa — oczywiście retoryczne — pytania: „Wszelako pod obcym panowaniem wolny kiedyś Polak jak dobrze napisać może, kiedy mu ręce związane?” Albertrandi natomiast napisał dobrze, aż za dobrze. „Albo kto kiedy był na mówcę obranym, który się za każdym słowem zająknąć musi?” (s. 113). Albertrandi mówcą był wyborynym, nie zająknął się ani razu. Nie bez powodu Karpiński przypomniał więc swoje doznania w czasie składania przysięgi na wierność obcemu monarsze i łzy, które mu się wtedy z oczu rzuciły, co świadczyło, że „kłamał język przed sercem”. Dodawał więc, że gdyby wtedy można było śmiało wymówić co czuł, „pięknej by to było wzorem wymowy”. W retorycznie ozdobnej rozprawie biskupa zenopolitańskiego zabrakło poecie wyraźnego wyrazu czułości nad losem ojczyzny–matki „dobrej i nikomu nie winnej”. Nie brał pod uwagę politycznych względów taktycznych, które kierowały piórem uczonego prezesa. Konkludował więc jednoznacznie i podobnie jak w *Żalach Sarmaty*: „Nie wymowa nam tedy, ale łzy tylko pozostały, a co jeszcze okropniejsza, że i płakać czasem nie wolno!” (s. 114).

Nie odrzucił jednak członkostwa TPN-u, a nawet swoimi późniejszymi pracami przekładowymi i uczoymi w jego program na swój sposób się włączał. Teraz upominał się o prawo do wyrażania uczuć patriotycznych i dzielił się — wobec nadmiernej pewności mówcy — swymi dramatycznymi i uzasadnionymi

wątpliwościami co do losu polskości pod zaborami. Od czasu napisania *Pieśni dziada sokalskiego w kordonie cesarskim* czynił to konsekwentnie.

#### RÉSUMÉ

L'objet du présent article est le problème de l'«inconséquence» de Franciszek Karpiński, dont une bonne illustration devait être sa lettre du mois d'août 1801 adressée à Jan Albertrandi. C'est la réponse de Karpiński à une lettre officielle d'Albertrandi qui l'informait de sa nomination au rang de membre actif de la Société des Amis des Sciences (Towarzystwo Przyjaciół Nauk) fondée en novembre 1800. En même temps que la lettre, Karpiński avait reçu *l'Allocution prononcée lors de la première séance de la Société des Amis des Sciences de Varsovie*, document qui déterminait les desseins de la Société et en formulait le principal objectif: que la Pologne, qui venait de perdre son indépendance, puisse conserver et développer sa culture et sa langue, tout en entretenant le meilleur de ses traditions.

Consentant à la proposition d'adhésion à la Section de la Poésie et de la Prononciation, Karpiński joignit à sa lettre un texte polémique en réponse à *l'Allocution...* d'Albertrandi. Dans son esprit, il n'y avait pas de chances que la Pologne conserve son patrimoine spirituel et sa langue, ce qui était le principal but de la Société. Les Italiens, les Chaldéens ou les Grecs — qu'Albertrandi citait comme exemple — se trouvaient, contrairement à la Pologne, à un plus haut niveau de développement civilisationnel que leurs envahisseurs. Les Allemands et les Autrichiens avaient aussi un patrimoine culturel important, si bien que les Polonais devaient céder, tôt ou tard, à la germanisation, comme ce fut le cas de la Silésie et de la Bohême. Selon Karpiński, compte tenu d'un degré de développement moindre de la culture russe et de la parenté des deux langues, c'était sur ses terres orientales, soumises aux influences russes, que la Pologne avait des chances de résister le plus longtemps à l'anéantissement de son héritage culturel.

Que Karpiński ait accepté l'invitation à prendre part aux travaux de la Société, on peut l'interpréter cependant comme l'expression d'une attitude conséquente. Il suffit de se référer au fait qu'il répondait à la lettre d'Albertrandi peu de temps après avoir écrit *Żale Sarmaty...* (*Les Chagrins du Sarmate...*). Or, la tonalité de sa réponse et celle du poème se ressemblent: en montrant la situation dramatique de la Pologne d'alors, Karpiński mettait un accent particulier à la fois sur les erreurs politiques cardinales commises dans le passé que sur le taux de démoralisation des élites.

De plus, Karpiński pouvait être rebuté par la grande assurance et l'optimisme de *l'Allocution...* d'Albertrandi, qui donnaient l'impression qu'il s'agissait d'un texte prononcé suite au regain de l'indépendance par la Pologne plutôt qu'après la perte de sa liberté. Le poète, en soulignant que la souveraineté était indispensable au développement de la culture nationale, s'opposait à l'accent démesuré qu'Albertrandi mettait sur la thèse prônant le caractère universel de la science.

En procédant à l'analyse du différend entre Albertrandi et Karpiński, l'on ne peut perdre de vue le fait qu'y prirent part un poète et un scientifique, et ceci dans une ambiance émotionnelle. Dans cette optique, l'attitude de Karpiński se révèle tout à fait cohérente.